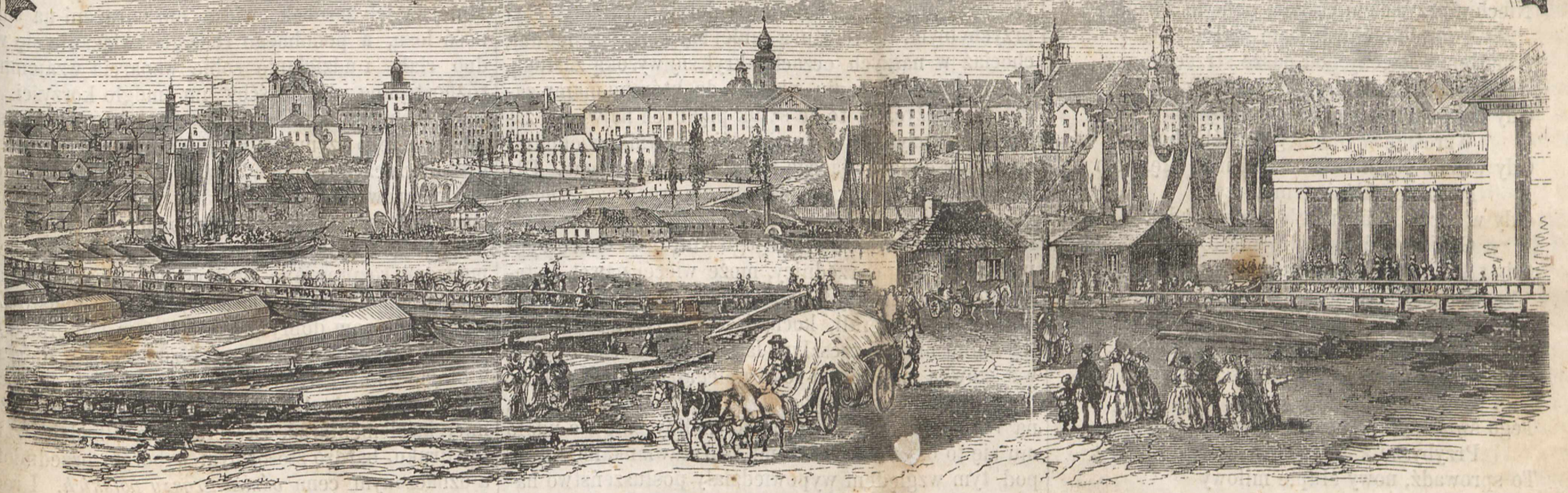


TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 14.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{19}{31}$ grudnia 1859.
Cena pojedynczego numeru kop. 3.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie
rocznie rsr. 12, półroc. rsr. 6, kwartal.
rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU. Powitanie Nowego Roku, poezya (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd piśmienniczy — Droga żelazna warszawsko-wiedeńska (z drzeworytem). — Zamek w Siewierzu (z drzeworytem). — Józef Kremer (z drzeworytem). — Astry, rysunek z pamięci przez Ludwika Brzozowskiego (dokończenie). — Szable Stefana Batorego i Stanisława Lubomirskiego (z czterema drzeworytami). — Rebus.



Roku, coś z nami, śmiechem i łzami,
Radością z bólem spletaną,
Przebiegł motylo chwilę za chwilą,
Dzień za dniem, zmianę za zmianą,

Coś bratnich z sobą, szczęściem; żałobą,
Ludzi tak różnie snuł losy,
Brał z swój skarby straty i plony,
Zsyłał im dary i ciosy,

Ciernie i róże, — pogody, burze, —
Uśmiech lub łzy na powieki, —
Dziś cię żegnamy, w wieczności bramy
Wstępującego na wieki. —

Ludzkość uświęci w wdzięcznej pamięci
Twojego przebiegu wspomnienia,
Gdy obok ciebie przeszłość zagrzebie
Błędy, nieszczęścia, cierpienia;

Gdy z tobą minie brak woli w czynie,
 Wiary i chęci do trudów,
 Grzechy, zła wola, kłeski, niedola,
 Dla wszystkich krajów i ludów.—
 A ty młodzianie, co panowanie
 Zacziesz nad nami po chwili,
 Spraw byśmy śmiało, pracą wytrwała,
 Torem poprawy dążyli.
 Niech z przyjściem twojém obfitym zdrojem
 Pomyślnie chwile nam płyną,
 Światłem pociechy pod nasze strzechy
 Zaświeć, wiekowa dziecino!
 Gdy bujne żniwo nad naszą niwą
 Wzrośnie w plennego chleb zboża,
 Gdy wraz z twym światem nad nieb błękitem
 Pogodna załśni nam zorza,—
 Gdy w sercach ludzi miłość się zbudzi,
 Gdy ufność wstąpi w nie błoga,
 Gdy stali w wierze, pracować szczerze
 Będą dla prawdy i Boga,—
 Gdy w imię cnoty zniknie ślepoty
 Z dusz i serc naszych powłoka,—
 Z tobą dla świata, w przyszłość bogata,
 Lepsza się zacznie epoka.
 Tego świat życzy, o tajemniczy
 Przybyszu z krain przyszłości,
 To sprowadź, nowy słupie milowy
 Na wielkiej drodze wieczności!
 I witaj mile! święte twe chwile,
 Jeśli nam niesiesz te dary,
 Jeśli cię bieli wiodą anieli
 Wytrwania w dobrem i wiary! (*)

Władysław Sabowski.

Kronika tygodniowa.

Biedna moja kronika w dziwnym dziś znajduje się położeniu. Stoi ona u wrót zamykających rok stary, a otwierających nowy, z twarzą na wpół wesołą, na wpół zmartwioną, z jednym okiem w przeszłość, z drugim w przyszłość wlepioną. Bo i niewiem doprawdy czy cieszyć się, czy smucić. Wartoby nowego przybysza o ile możliwości najprzychylniej powitać, ale i starszek który nas opuszcza ma także swoje zasługi, i nie można znów tak dla niego wręcz się niewdzięcznym okazać.

W każdym razie dziwnymi nam się wydają te wszystkie noworoczne powinszowania. I cóż tu komu winiszować że jest o rok starszym? Chyba tylko studenci i panienki, którym parę lat brakuje do ukończenia pensyi, powinni zachowywać pomiędzy sobą ten zwyczaj; bo wszakże im dopiero w życie, a to życie z każdym rokiem powabniejszym się wydaje. Ale my... w naszym istnieniu tyle już smutnych doznaliśmy rozczarowań, tak nas to szczęśliwe jutro zawsze uwodzi, że doprawdy dziwić się należy tej wierze, z jaką za każdym razem wchodzimy w nowy peryód życia.

To mi jednak nie przeszkadza wcale, szanowni czytelnicy, życzyć wam wszelkich możliwych szczęśliwości, jakkolwiek nie mam jeszcze do tego zupełnego prawa, jesteśmy bowiem dopiero w wigilii nowego roku. Ale cóż na to czynić, kiedy „Tygodnikowi Ilustrowanemu“ w peryodycznej jego pielgrzymce wypadło żegnać ostatni dzień roku starego, a wejście swoje w rok nowy dopiero na święto Trzech Króli odprawić. Już nie z powinszowaniami, ale z mirrą, złotem i kadzidłem przyjdziemy wówczas do was.

Pożądane to dary, bo ludzie dzisiejsi lubią bardzo żeby im kadzić, a o złocie niema i co mówić nawet, znany jest gust ludzkości do tego metalu.

Chcielibyśmy przytém skreślić jaki nekrolog dla konającego roku, ale po prawdzie brak nam miejsca do tego. W każdym razie powiemy, że z licznych przedmiotów tego staruszka, najwybitniejszym był dobry stan zdrowia, w którym dotrwał aż do końca, przy-

(*) Rysunek zajmujący pierwszą stronicę dzisiejszego numeru, jest ostatnią kompozycją naszego nieodżałowanego Piwarskiego, przy której śmierć go zaskoczyła. Własnoręczną jego pracą, w połowie tylko ukończoną, pozostała nietkniętą; lecz podług niej także sam rysunek, z zachowaniem wszelkich szczegółów kompozycji pierwotnej, wykonał p. Wojciech Gerson, jeden z najzdolniejszych uczniów zmarłego. Obok więc myśli głównej jaką w sobie zawiera, jest to zarazem ostatnie słowo tyle zasłużonego krajowi człowieka, nie usty ale duchem do ziomek wyrzeczone.

najmniej u nas. Ani razu nie zapadł na cholere, rozlicznym febrom prawie nie ulegał wcale. W ogóle uskąpił miejsca chorobom, które, jakby ustraszony nowo powstałą akademią lekarską, cofnęły się na Niemcy i Anglię. Jako dobry gospodarz sprzyjał on chętnie rozwojowi Towarzystwa rolniczego, a praktyką popierając teorią, obdarzył nas dość pomyślnymi urodzajami, i oszczędził głodu i biedy. Protegując rolnictwo i przemysł, handlowi nietylko co tamtym był przychylnym, a literaturą mniej się jeszcze zajmował, chociaż w naszych oczach okrył się wysoką zasługą, sprzyjając narodzeniu pisma, do którego mamy zaszczyt należeć. Za to ze sztuk pięknych najwięcej zamięłował muzykę, pocieszając jej lubowników obietnicą wzniesić się mającego instytutu muzycznego. Dla malarstwa i rzeźby okazał on się trochę ojczymem, ale trudno być doskonałym na tym świecie, może przyszły spadkobierca zatrze te jego winy. Był dobroczynnym jak jego poprzednicy, może więcej nawet, i starannie dbał o chwałę Bożą. Zresztą, jak zwykle, ludzie rodzili się, umierali, kochali, żenili, tylko rozwodzili się mniej niż w przeszłych latach, co także dobrą jest wskazówką moralności roku ubiegającego. Nakoniec dodać musimy, że rozpoczął budowanie stałego mostu na Wiśle, i chciał skasować krynoliny, ale nie udało mu się to ostatnie z naszymi Warszawiankami, które pod tym względem wypowiedziały posłuszeństwo nawet paryżkiej modzie. Zawsze jednak miał on poczciwe zamiary, co w każdym razie jest zasługą; że zaś z kobietami nie mógł do ładu trafić, to nie jemupierwszemu ani też ostatniemu się wydarzyło.

Teatr Rozmaitości dobrze się zasłużył pod koniec roku wznowieniem *Męza i Żony*, komedyi Fredry, którą liczymy do najlepszych sztuk tego znakomitego autora. Odznacza się ona śliczną formą i wybornym prowadzeniem; zasługę jej stanowi szczególnie żywość akcji, która nawet u Fredry nie zwykła tak szybko postępować. Radzibyśmy tego rodzaju utwory często widzieć na naszej scenie, tym sposobem i artyści nabrałiby więcej wprawy do odgrywania tych ról, trudniejszych trochę niżli codzienna ich praktyka. Pani Ziemińska miała wiele miejsc szczęśliwych, pani Bałowiczowa oddała swoją rolę żywo i figlarnie, jak przystoi na Justysię. Pan Stolpe grał męża, a pan Świeszewski kochanka. Radzilibyśmy żeby niektórzy z artystów naszych pamiętali, że słuchacze są nie za kulisami, ale w sali teatralnej, i że komedia nie jest sekretem, który jedno drugiemu wypowiada na ucho, a ten, co kilka złotych zapłacił za bilet, radby za swoje pieniądze coś przynajmniej usłyszeć z komedyi. Wprawdzie protegują oni tym sposobem księgarzów, bo zagnają publiczność do brania z sobą na widowisko egzemplarza dzieł Fredry, niezbędnego dla dokładnego zrozumienia odgrywanej sztuki. zdaje nam się jednakże iż Fredro obyły się bez takiej protekcji.

W ubiegłym tygodniu koleśka dość świetnymi odznaczyła się zebraniem. Mieliśmy świetny koncert wydany w resursie na dochód dobroczynności. Dziś resursa muzykalnieje widocznie. a winna to staraniom p. Apolliniego Kątskiego, który ten żywioł tak pożądanym wniosł do zwykłych jej zajęć i zabaw. Odezwa tegoż p. Kątskiego jako dyrektora przyszłego instytutu muzycznego, dołączona do wszystkich pism peryodycznych tutaj wychodzących, błogie już przyniosła owoce. Z różnych stron nadchodzą składki pojedyncze, zbiorowe; słyhać nawet że resursy po większych miastach urządzają zabawy, z których dochód ma być obrócony na instytut. Nie zawiedzie się nigdy ten, który u nas rachować będzie na współdziałanie obywateli naszych. Moglibyśmy naliczyć niejednego przykład ich skwapliwości w doprowadzeniu do skutku dobrych uczynków i użytecznych przedsięwzięć, a nie wątpimy że szybkie zebranie funduszy, na założenie instytutu muzycznego potrzebnych, usprawiedliwi ufność, z jaką odezwano się do ich miłości dobra publicznego. „Tygodnik Ilustrowany“, podobnie jak inne pisma, będzie przyjmował wszelkie, by najdrobniejsze kwoty, o których w miarę nadsyłki za każdym razem uwiadamiać będzie prenumeratorów.

Odbyło się niedawno posiedzenia towarzystwa lekarzy, zawiązanego w celu niesienia pomocy sierotom i wdowom pozostałym po tych, którym śmierć przedwczesna nie dozwoliła pomyśleć o zapewnieniu istnienia drogich sobie istot. Zebranego już funduszu okazało się 7,000 rs., a wsparć rozdano niemało. Jest to już drugie z rzędu takie towarzystwo założone u nas, bo pierwszy dała przykład kassa wspólna, dla

podupadłych artystów muzycznych urządzona. Podobno prawnicy i aptekarze zamierzają pomiędzy sobą także samą spółkę urządzić.

Oddawna już odzywały się pojedyncze głosy, zachęcające do założenia towarzystwa literatów na takichże opartego zasadach, i po prawdzie potrzeba wzajemnej pomocy pomiędzy literatami daleko dotkliwiej czuć się daje, aniżeli w innych stanach. Mniejszy ich zarobek, więcej oni narażeni na zmienność losu, a podobnego rodzaju związanie się w jedno ciało i udzielanie sobie wsparcia wzajemnego, różnostronne przyniesie im mogło korzyści. Już w Petersburgu istnieje takie towarzystwo, a sprawozdania z jego czynności dzienniki nam ogłaszały. Ale u nas urzeczywistnianie wszelkich podobnego rodzaju zamiarów idzie oporem; słów wiele, może i dobrych chęci nie brak, ale na, tém podobno wszystko się kończy. O spółce na przykład wydawniczej tyle już mówiono, rozprawiano, próbowano, a wszystko nadaremnie. Tymczasem małe stosunkowo miasto Żytomierz daje nam dobry przykład: tam spółka wydawnicza istnieje już i wprowadzona jest w działanie, a błogie skutki tego działania dają się już uczuć. Wspomniemy tu tylko o wydanym przez spółkę żytomierską elementarzu, zawierającym kilkadziesiąt kartek druku, bardzo stosownym wyborem przedmiotów, a oznaczonym ceną *ośmiu groszy polskich*. I ręczyć prawie możemy że spółka na tym elementarzu bardzo dobrze wyjdzie, bo niezawodnie rozejdzie się kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy podobnie taniego wydania. To tylko początek, bo spółka zamierza czynnie, wedle sił swoich, przeprowadzić reformę w wydawnictwie książek. Mnóstwo już zakupiła nakładów, a drukując je własnym kosztem i w własnej drukarni, będzie oznaczać na nie bardzo małą cenę, próbując czy tym sposobem nie da się rozbudzić w ogóle większe zamiłowanie do czytania i kupowania książek. Zdaje nam się że na osiągnięcie tak pożądanego celu najwłaściwszą obrała sobie ona drogę.

Zapomniałem wam donieść o pojawiającym się w Chełmie upiorze, z dziwnym usposobieniem gastronomicznym; objada on nosy kobietom, przechodzącym nocą po ulicach miasta, a tak czynnie pertraktuje on tę sprawę, że już, jak powiadają, istnieje w Chełmie kilka niewiast pozbawionych tej koniecznej ozdoby twarzy. To nam przypomina ulubionego tu niegdyś ramotkarza, Augusta Wilkońskiego, który rozpowiadał w pewnym towarzystwie, że w Warszawie na Solcu nad Wisłą pojawiał się jakiś upiór bez głowy, który zastępował drogę spóźnionym przechodniom i zapytywał się ich gdzie idą, w razie zaś nieotrzymania zadowolniającej odpowiedzi, zrzucał ich z bulwarku w Wisłę.

— Chciałbym panu wierzyć, rzekł na to jeden z przytomnych temu opowiadaniu, ale żadną miarą wytłumaczyć sobie nie mogę jakim sposobem upiór ten mógł się zapytywać przechodniów gdzie idą, kiedy nie miał głowy.

— Pytanie pańskie, odpowiedział bez zająknięcia się chirurg filozofii, dowodzi wielkiego nie obeznania się z naukami fizycznymi, upiór ten bowiem był brzuchomówcą.

W ostatnich dniach ubiegającego roku wyszła na świat książeczka, którą, jak oświadcza sam autor, pan Władysław Sabowski w liście pisanym do nas oddaje:

Pod sąd pięknych lektorek,
 Po pochwały lub gniewy,
 Będzie to wierszy zbiorek
 Zwany *Ziarna i plewy*.

Ten *zbiorek* ukazał się już w handlu księgarskim, składa się on po większej części z poezji oryginalnych, do których dołączone zostały niektóre przekłady z Musseta i Lermontowa. Wiersz pana Sabowskiego odznacza się gładką i piękną formą, i zdaje się że najbardziej przyswoił sobie rodzaj *opowiadawczy* bo trudno go *epicznym* nazwać. Jest to schronienie poetów XIX wieku, gdy o liryzm coraz to trudniej, dydaktyczność całkiem prawie wyszła z użycia, a wyżyny dramatu nie każdemu dostępne. Panu Sabowskiemu inwencji nie brak, posiada nawet dowcip tyle pożądanym w tego rodzaju wierszowanych powiastkach. Radzilibyśmy mu tylko zachowanie większej równości, w utworach mianowicie dłuższych rozmiarów, gdzie przy ustępach bardzo wdzięcznie i poetycznie obrobionych, znajdują się miejsca całkiem prozaiczne i psujące wrażenie czytelnika. W każdym jednak razie to pierwszy początek, a pan Sabowski,

otworzywszy sobie nim drogę do sympaty publicznej, śmieliej nią postępować będzie.

Jedno z naszych pism codziennych ogłosiło o wyjeździe za granicę młodego tutejszego artysty, w celu dalszego kształcenia się w sztuce. On sam nie wiedział o tém ogłoszeniu, i możecie sobie wystawić jego zdziwienie, kiedy z rana o godzinie 8 z najlepszego snu budzi go dzwonek od drzwi wchodowych.

— Kto tam?

— To ja.

— Co za ja?

— Krawiec pański, przychodzę z pilnym interesem.

Cóż czynić, artysta nasz wstaje i otwiera.

— Jakiż to pilny interes sprowadza pana do mnie?

— Oto dowiedziałem się z gazet że pan wyjeżdżasz, chciałbym więc żebyś pan przed wyjazdem załatwił nasz rachunek.

— Ale gdzie tam, kochany panie, ani śni mi się wyjeżdżać, dajże sobie pokój i wracaj do domu, a mnie daj spać.

Ale krawiec nie ustąpił, aż dopóki nie dostał pewnej kwotki na rachunek należności, a to sposobem wynagrodzenia za strach jakim go nabawiło owo ogłoszenie w gazetach. Po krawcu nastąpił szewc, po szewcu praczka, dalej garson z restauracji gdzie się nasz artysta stołuje, później kawiarka z zakładu w którym pija ranną i wieczorną herbatę, i gospodarz domu z zapytaniem czy ma wywiesić kartę za mieszkanie, i stróż upominający się o kolebę, bo lękał się że artysta odjedzie przed nowym rokiem, i przyjaciele z komisami, i różne związki sercowe, dla których wyjazd artysty byłby najniebezpieczniejszą próbą.

A z każdym trzeba było się swarzyć, każdego przekonywać, każdego ułagadzać.

Artysta nasz o mało nie zachorował z téj ciężkiej pracy, i przysięgał nam że gotów wyrzec się na zawsze wszelkiej myśli podróży.

O sławo! w jakichże uciążliwych nieraz objawiasz się nam warunkach!

O balach w obu resursach, które się mają dziś wieczorem odbyć, donoszę wam z góry że będą liczne, strojne i ożywione. Mówią nawet o wyjściu na świat kilku nowych i nieznanych jeszcze piękności.

A teraz do zobaczenia, nie spotkamy się już aż chyba w roku przyszłym.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Nowa Lirenka, rytmy Teofila Lenartowicza. W dwóch częściach, z portretem autora. Warszawa 1859.

Mało jest dziś imion tak nam sympatycznych, jak imię autora Lirenki: głębokie, rzewne uczucie znamionujące jego utwory, wdzięczna prostota, poetyczność obrazów, tak wonnych i świeżych, jak mazowiecka niwa, gdy po niej wietrzyk wiosenny powieje, wreszcie mistrzowska, artystyczna forma, co wykwinętna w prostocie swojej, zachwyca czystością rysunku, jasnością kolorytu i niewysłowionym wdziękiem, oto są źródła téj sympaty, z jaką naród cały każdy utwór Lenartowicza przyjmuje. A wszystkie one tak są przesiątkie wzniosłym religijnym duchem, taka wieje z nich woń rodzinnej ziemi, tak cudnie malują nasze niebo i nasze równiny, złote słońko i tęskne gwiazdy, i ten lud nasz prosty, dziarski, a serdeczny, iż czujesz, jak każda garść ziemi i każdy ton mowy ojczystej wsiąka ci w serce, ogarnia całą duszę twoją, ukochaną rozbrzmiewając melodyą.

Żaden dotychczas z poetów naszych tak głęboko nie umiłował ludu, nie pojął tak trafnie jego natury, nie wniknął w tajniki jego ducha, nie podsłuchiwał wszystkich serdecznych jego zwierzeń w godzinach wesela i smutku, jak Lenartowicz. Ludowe zwyczaje, podania, przesady, jednym słowem całe to życie ciche, proste, oddane ciężkiej pracy około roli, oto treść większej części utworów tego poety. Podziwiać tu trzeba to umiejętne pochwylenie poetycznej strony naszego większego ludu i oddanie jej mistrzowskie, co chociaż nosi na sobie wyraźne piętno sztuki, nie zaciera jednak właściwego charakteru, nie zmienia naszego chłopca w jakąś sztuczną, idylliczną postać tęskniącego Filona lub Tyrsysa, ale przedstawia go takim, jakim jest w istocie, tylko do tyła opromienionym złotym blaskiem poezyi, że prozaiczna rzeczywistość zginęła gdzieś całkiem bez śladu, a sam ideał pozostał.

Wydana obecnie „Nowa Lirenka“ nie ustępuje co do wartości innym utworom Lenartowicza; napotykamy tu piękny poemat religijny większych rozmiarów, osnuty na legendzie o św. Franciszku, Baśń o walecznym księciu. Trzy siostry. św. Gracy, Improwizacya, do Mojego Grajka i wiele drobnych poezyj, pełnych uczucia i wdzięku. Niektóre z tych poezyj drukowane już były dawniej: Baśń o walecznym księciu, Trzy siostry, w jednym z pism poznańskich, choć w trochę zmienionej formie; inne w poznańskiej edycji Lirenki; ponieważ jednak ogółowi naszej publiczności znane nie były, miłą więc są dla niego nowością. Gdyby nam przyszło wskazać, którą z poezyj w tym zbiorze za najpiękniejszą uważamy, w trudnym bardzo znaleźćlibyśmy się położeniu, tak tu one wszystkie mają coś uroczego, co pociąga i za serce chwyta; a gdy jedne unoszą dncha gorącym religijnym uczuciem, drugie zachwycają naiwną prostotą, lub rzewnemi obrazami smutku w tęskną pogrążają zadumę. Lenartowicz jest nie tylko ludowym, ale i czysto narodowym poetą; z tą też najprostsze nieraz dźwięki jego liry dziwną posiadają siłę, dziwnie przemawiają do naszej duszy, obudzając cały świat myśli i wspomnień. W utworach nawet obcych nam z pozoru, jak np. w św. Franciszku, Gładyatorach i t. d., serdeczne myśli narodu cichym szemrzą ponikiem, świadcząc że oko poety w jedną wciąż zwraca się stronę, że serce jego wciąż tęskni do ziemi rodzinnej, a dusza obłana łzami wspomnień, na skrzydłach wiary pragnie wzlecieć w krainę szczęśliwszej przyszłości. W legendzie o św. Franciszku poeta skreśla nam obraz tego prawdziwie chrześcijańskiego męża, który za cel swego żywota obrał poświęcenie dla biędnego cierpiącego ludu, a gromiąc możnych i bogaczy, niósł w progi ubogich chat słowa pokoju i pociechy. Zawarta tu idea poświęcenia i miłości bliźnich pięknie wyświeca religijne stanowisko Lenartowicza i utwór cały jakimś rzewnym ciepłem napełnia, co przenika do duszy, a w sercu rozbudza święty płomień tych zasadniczych cnót chrystyanizmu. Niemniej pięknym utworem jest św. Graca, szczęśliwa pomysłem, a formą nawet, mistrzowsko wykończoną, o wiele przewyższająca poprzedni poemat. Niepodobna tu nam szczegółowo zastanawiać się nad każdym pojedynczym utworem, gdyż szczupłe ramy dziennikarskiego przeglądu nie pozwalają na to, tém więcej, że każda z zawartych w tym zbiorze poezyj ma coś odznaczającego się, czy to w swój myśli, czy w formie. Wsłuchawszy się całą duszą w pieśni ludu, Lenartowicz odgadł tajemnicę dziwnego, tęsknego ich uroku, i szczęśliwie go w utworach swoich odwzorował, jak np. w owój słynnej Kalinie, którą tysiące ust powtarza, i która jak cudny kwiatek polny zawsze kwitnąć będzie na naszej ziemi. W Nowej Lirence napotykamy kilka równie pięknych poezyj, w tym samym napisanych tonie: zasługuje tu szczególnie na uwagę wiersz pod tytułem: „Zostań dziewczyno,“ odznaczający się głębokim uczuciem i prześliczną ludową formą.

Czytając poezje Lenartowicza, możnaby sądzić zaiste, że niema na całej naszej ziemi jednego zakątka, jednego drzewa, jednego strumyka, któryby mu tajemniczym głosem nie wyśpiewał ulubionych swych pieśni; tak mu tu wszystko znajome, a ukochane, a drogie. Szum wichru co przebiega mazowieckie niwy, posępne lasów jodłowych rozmowy, szept wiślanej fali, szmer kołyszącego się zboża, świergotanie ptasząt, to dźwięki nadziemskich pieśni, co tak mu jasne i zrozumiałe, jak ludzka powszednia mowa, a tak święte i drogie, jak błogosławieństwo matki...

Podziwiając to bogactwo poetycznego ducha, co tchnieniem swoim całej naturze cudne nadaje życie i w ścisły ją związek z sercem człowieka i jego dolą wprowadza, trudno nie zastanowić się i nad mistrzostwem formy, prostej, swobodnej, a tak wykończonej i nieraz prześlicznej w najdrobniejszych szczegółach, że przyrównać ją można do misternego złotego cacka, które wyszło z pod dłota Benvenuta Cellini. Wiersz zawsze szlachetny, wykwinętny nawet, choć tak naturalnie płynie, jak kryształowy potok, co srebrną wstęgą przebiega strojną w kwiaty równinę. w czystych falach swoich odbijając jasny błękit nieba, rosochate wierzby, kołyszące się topole i wszystkie owe cuda rodzinnej ziemi, tak drogie sercu poety.

Kończąc ten pobieżny nasz przegląd, dodamy tylko, że Nowa Lirenka jest jednym z piękniejszych kwiatów w uroczym owym wieńcu, który poeta wysnuł z natchnionej swój piersi, a bogata treścią, przesiąknięta mi-

łością Boga i ludzi, i wszystkiego co jest wzniosłem i pięknem, owiana wreszcie urokiem niewysłowionej, a tak dla każdego zrozumiałej tęsknoty, nowe daje Lenartowiczowi prawo do czci i uwielbienia narodu.

DROGA ŻELAZNA WARSZAWSKO-WIEDEŃSKA.

Pomiędzy licznymi dziełami użyteczności publicznej, które rząd królestwa polskiego w epoce naszej dokonał, droga żelazna warszawsko-wiedeńska, wielkością przedsięwzięcia i błogimi skutkami jakie na kraj nasz wywarła, pierwsze niewątpliwie zajmuje miejsce. Sądzimy więc, że krótki pogląd na historią jej budowy nie będzie dla czytelników bez zajęcia.

Projekt wspomnianej drogi sięga roku 1834, i należy się Henrykowi Żubińskiemu, b. vice-prezesowi banku polskiego, wówczas górnictwem rządowym kierującemu. Głównem jej zadaniem było z razu ułatwienie przewozu płodów górniczych, mianowicie zaś węgla kamiennego.

Natura uposażyła południowo-zachodnią stronę ziemi naszej tak potężnymi pokładami węgla, na jakie dotąd nigdzie jeszcze nie natrafiono; a jednakże, kiedy w innych krajach materiał ten stał się źródłem bogactw i dźwignią tegoczesnej cywilizacji, u nas przeciwnie, przy braku odpowiednich komunikacyj, użytek węgla ograniczał się do miejscowych zakładów górniczych, a po za ich obrębem był wcale nieznanym. Silne i gorące uczucie potrzeby zaradzenia tak szkodliwemu dla kraju zaniedbanu, natchnęło H. Żubińskiego myślą założenia drogi szynowej z Warszawy do kopalń węgla, jako mogącej najdzielniej wpłynąć na upowszechnienie w kraju tak użytecznego paliwa.

Ażebym ocenić zasługę projektu tego, należy tu przypomnieć, jak w owym czasie pojmowaną była wschodząca na horyzont świata kwestya dróg żelaznych. Kwestyą tę obudziła otwarta w r. 1830 kolej z Liverpoolu do Manchester. Wypadki na wspomnianej kolei osiągnięte objawiły zaraz, acz małej liczbie wybranych umysłów, znaczenie i całą przyszłość dróg żelaznych. Pojął takową przed innemi rząd nowo utworzonego królestwa Belgów, postanowiwszy w r. 1834 budowę sieci kraj ten obecnie pokrywającej. W tym samym roku, jednocześnie z projektem naszym, zjawily się projekta kolei: północnej cesarza Ferdynanda iz Drezna do Lipska. Wogólności jednak zastosowanie dróg żelaznych do większych komunikacyj, nie tylko że nie znajdowało wiary, ale przeciwnie uważanem było przez najznakomitszych ludzi stanu za utopią, nigdy ziścić się niemogącą. Jakoż w tym samym czasie, kiedy u nas pracowano nad projektem 40-milowej drogi żelaznej, i gdy sieć belgijska była już zadekretowaną, minister francuzki Thiers, po powrocie z Anglii, gdzie udawał się dla zbadania kolei Liverpool-Manchester, z mównicy izby deputowanych oświadczył, „że drogi żelazne mogą tylko służyć za bawidełko ciekawej ludności wielkich stolic.“ Dalej tenże mówca wyrzekł: „Budujemy obecnie we Francyi 6 do 7 mil dróg żelaznych; z mojej strony uważałbym się za szczęśliwego, gdyby mię zapewniono, że nadal corocznie mil 3 budować będziemy. Trzeba widzieć rzeczywistość... bo nawet w przypuszczeniu jak największego powodzenia, drogi żelazne nie mogą nigdy osiągnąć rozwoju o jakim marzono.“

Takie i tym podobne zdania o kolejach żelaznych, z ust najpoważniejszych i z pod znakomitych piór wychodzące, nie zachwiały H. Żubińskiego w namietnie powziętym zamiarze obdarzenia kraju naszego komunikacją, której całą pojmował ważność. Ze zwykłym sobie zapałem zbierał on i gromadził wszechstronne ku temu wiadomości, zarządził przygotowanie potrzebnych do projektu planów, a uzyskawszy wkrótce dla swojego przychylną opinią władzy wyższej, z jej upoważnienia wysłał za granicę w r. 1836 inżyniera Wysockiego, w celu zbadania istniejących lub w budowie będących dróg żelaznych.

Lecz pomimo spodziewanej ze strony rządu pomocy, nie było łatwem znaleźć przedsięwzięć, coby dzieło tak wielkie, a mało jeszcze zaufania wzbudzające, wykonać chcieli. Podniósł myśl tę mąż, którego imię nawykliśmy wspominać, ile razy cofniemy się ku ulepszeniom i pożytecznym wynalazkom, w ubiegłej epoce krajowi naszemu przyswojonym. W r. 1838 Piotr

Steinkeller, po zapewnieniu sobie współdziałania Tomasza hr. Żubieńskiego, zaniósł do rządu prośbę o udzielenie mu przywileju, na założenie, za pośrednictwem towarzystwa akcyonaryuszów, drogi żelaznej z Warszawy do Niwki, odtąd warszawsko-wiedeńską, nazwaną, i o poręczanie prowizji 4% od kapitału potrzebnego na jej budowę, a oznaczonego przez Steinkellera w sumie zbyt szczupłej złp. 21,000,000. Prośba ta, poparta przychylnym przedstawieniem księcia namiestnika, otrzymała **Najwyższe** zezwolenie. Wkrótce więc, z upoważnienia i w imieniu rządu królestwa, bank polski zawarł ze Steinkellerem kontrakt o budowę wspomnianej drogi. Nadzór przedsiębiorstwa tego poruczony był ze strony rządu bankowi polskiemu, a kierunek budowy drogi, naczelnemu inżynierowi przy tymże banku, S. Wysockiemu.

Z postępowaniem przygotowawczym przekonano się niebawem, że ustanowiony aktem nadawczym kapitał zakładowy rsr. 3,150,000 nie wystarczyłby na potrzeby drogi żelaznej mil 41 długiej, gdyby ona urządzona być miała do eksploatacji siłą pary. Że zaś, według wyraźnego zastrzeżenia rządu, kapitał ten przekroczony być nie mógł, przeto, w zasto-

Tymczasem nagły i niespodziewany rozwój dróg żelaznych w ościennych państwach, zmienił stanowisko budującej się u nas kolei. Komunikacje te, niedawno jeszcze traktowane za utopią nigdy ziścić się nie mogącą, dopiero w latach 1840 i 41 otrzymały znaczenie, jakie obecnie w potrzebach społeczeństw zajmują. Dokonane lub przedsięwzięte w latach tych wielkie linie dróg żelaznych, mianowicie w Belgii i w Niemczech, tworzyć poczęły olbrzymią sieć, sięgającą do granicy królestwa polskiego w tym właśnie punkcie, do którego także droga nasza zmierzała. Obok nowych widoków jakie wynikły ztąd dla kolei warszawsko-wiedeńskiej, zamiar obsługiwanie onę końmi, ustąpić musiał ogólnemu popędowi i powszechnej żądzy otrzymania szybkości, będącej wyłącznym udziałem dróg żelaznych siłą pary eksploatowanych. Uważano więc, że zastosowanie siły tej jest także dla drogi naszej żywotną kwestyą i niezbędnym warunkiem rokowanych z niej krajowi korzyści.

Ponieważ *budowa dolna* rzeczony drogi, już w większej części uskuteczniła, odpowiadała w zupełności jej nowemu przeznaczeniu, przeto potrzebne zmiany innych części projektu ograniczały się na zastą-

dania mu dalszego biegu, ustanowił komitet, pod prezydencją J. O. generała-adjutanta księcia Górczakowa, dzisiejszego namiestnika królestwa. Światłemu sądowi rzeczony komitetu zawdzięczamy uchronienie od upadku dzieła, będącego obecnie największym dla kraju naszego dobrodziejstwem.

Po gruntownym zbadaniu rzeczy, komitet objawił opinią: aby rząd, po spłaceniu akcyonaryuszów, ukończył kosztem skarbu budowę drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, przydając do niej odnogę ze Skierniewic do Łowicza. Wniosek ten zyskał **Najwyższe** zatwierdzenie pod dniem 9 (21) kwietnia 1843 roku.

Tak więc, po przerwie 2 i pół lat trwającej, z wiosną 1844 roku przystąpiono do dalszej budowy drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, pod kierunkiem generał-majora Gerstfelda,

W miarę postępu robót, otwierano częściowo drogi w roku 1845 z Warszawy do Grodziska, Skierniewic, Łowicza i Rogowa; w roku 1846 do Piotrkowa; w roku 1847 do Częstochowy i Ząbkowic, a dnia 1 kwietnia 1848 r. cała linia z Warszawy do Granicy do użytku publicznego otworzona i zetknięta w Szcza-



DWORZEC KOLEI ŻELAZNEJ WARSZAWSKO-WIEDENSKIEJ W WARSZAWIE.

sowaniu się do przeznaczonego funduszu, zamierzono wybudować kolej tak zwaną amerykańską, z belek drewnianych, płaskimi szynami opatrzonych, i urządzić ją do obsługi końmi; zwłaszcza że w owym czasie były jeszcze podzielone zdania, czy w kraju naszym, przy tanim utrzymaniu koni, użycie parochodów na drodze żelaznej, przeznaczonej wyłącznie do przewozu ciężarów, przedstawiać będzie wyraźne korzyści. W każdym razie, bacząc na przyszłość, we wszystkich innych częściach projektu trzymano się ściśle zasad i prawideł budowy dróg, siłą pary eksploatować się mających, a mianowicie: starannym wyborem kierunku drogi osiągnięto umiarkowane, nigdzie stosunku $\frac{1}{200}$ nie przenoszące spadki i wzniesienia kolei, jakoteż długie, proste linie, połączone łukami promienia najmniej sążni 500. Nareszcie zaprojektowano dalszą budowę drogi, na szerokość potrzebną do umieszczenia z czasem kolei podwójnej.

Projekt taki przedstawiony został do zatwierdzenia rządu w końcu r. 1839. W miesiącu kwietniu następnego roku rozpoczęto budowę, a przed upływem r. 1841 wykonano już na całej linii $\frac{2}{3}$ części wszystkich robót i znaczną liczbę mostów.

pieniu kolei amerykańskiej maszynami żelaznymi railsami i stosownym urządzeniem stacyj, jako też drogowego taboru. Po wprowadzeniu zmian tych do projektu drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, obliczono jej koszt na sumę rs. 6,000,000.

Z drugiej strony, z powodu przesilenia finansowego przypadłego w roku 1839, to jest w epoce związku towarzystwa wspomnianej drogi, później zaś skutkiem wątpliwości jaką obudzało wszędzie zbyt niskie oznaczenie jej kapitału zakładowego, akcje wydane na poręczoną przez rząd sumę rs. 3,150,000, w połowie tylko ulokowane zostały. Gdy więc otrzymane ztąd fundusze wyczerpięto na roboty już uskutecznione, założyciele towarzystwa, widząc się w niemożności ukończenia swego przedsięwzięcia w nowym one-go zakresie, udali się do rządu z prośbą o rozwiązanie kontraktu, zawartego z Piotrem Steinkellerem, względem budowy drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Po otrzymaniu na prośbę tę przychylniej decyzji, towarzystwo rozwiązało się dnia 19 (31) maja 1842 roku.

Rząd, wszedłszy w prawa rozwiązanej towarzystwa, dla dokładnego poznania stanu interesu i na-

stawieniu z koleją krakowsko-górno-szląską, połączyła Warszawę z głównymi miastami Europy.

Pomimo niezbędnych strat, z długiego przestanku robót wynikłych, budowa drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, łącznie z taborem pierwotnie sprawionym, kosztowała rs. 6,450,000. Że zaś jej długość z odnogą łowicką wynosi wiorst 307, zatem przypada na jedną wiorstę rs. 21,008.

Tak szczupłym funduszem, niedochodzącym $\frac{1}{3}$ średniego kosztu dróg żelaznych w Europie, droga nasza nie mogła być uposażoną w sposób odpowiedni potrzebom ciągle wzrastającego ruchu. Z otwarciem całej linii, coraz dotkliwiej dawał się uczuć niedostatek taboru, potrzebnych budynków i różnych przyrządów. Nadto pierwotnie położone railsy, 15 do 18 funtów na stopę bieżącą ważące, nie odpowiadały ciągle powiększanemu ciężarowi nowszych parochodów, a ztąd prędkie i coraz silniejsze zużycie tych railsów, rokowało nieodległy termin, w którym na całej drodze zmienić je wypadnie.

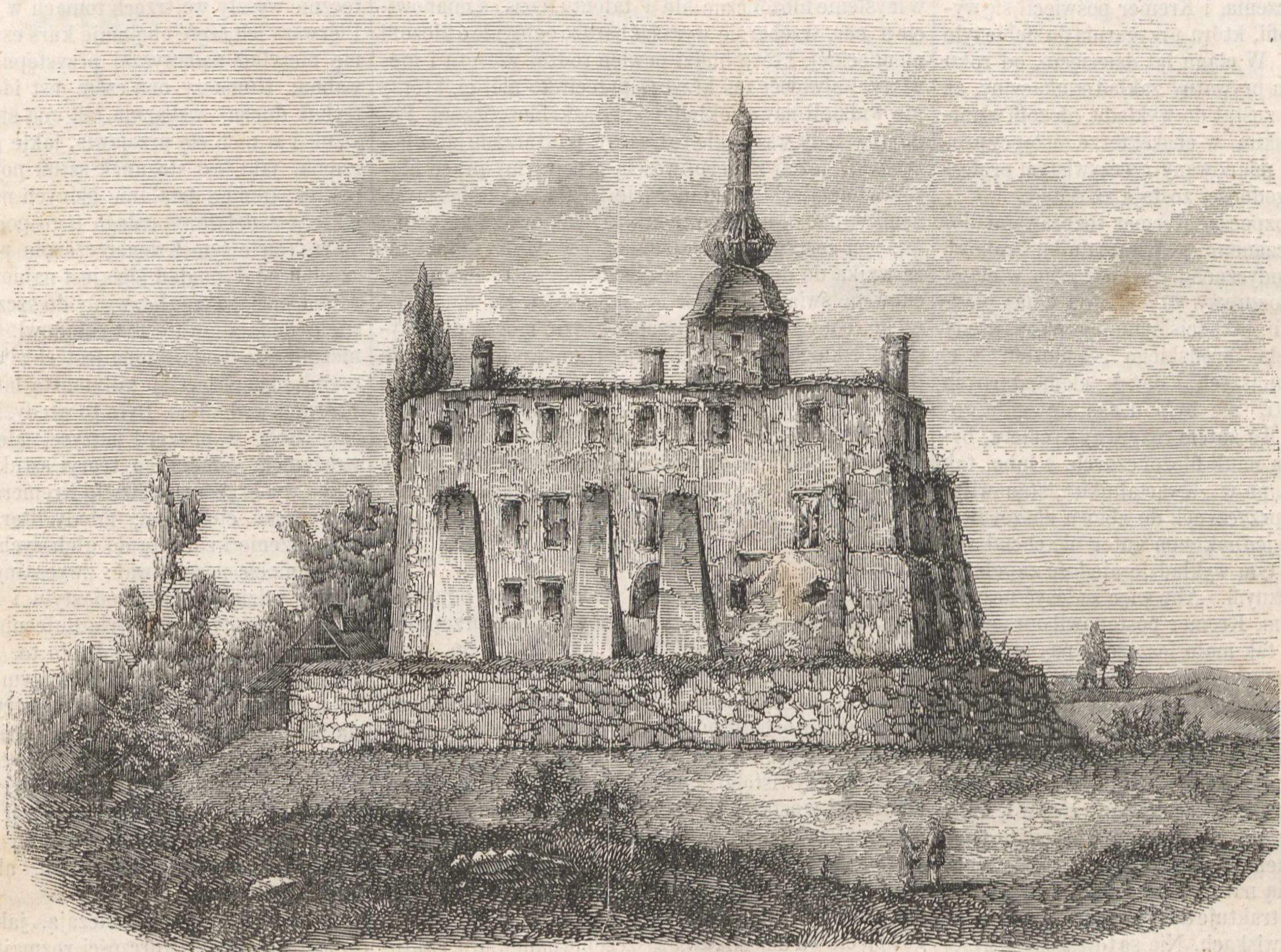
Jednocześnie z uznaniem tych potrzeb, rząd królestwa polskiego, zawarłszy w roku 1857 z rządem pruskim konwencją o wybudowanie nowych kolei,

z Ząbkowic do Katowic i z Łowicza do Bydgoszczy, uznał właściwem, aby przedsięwzięcie to, wraz z doprowadzeniem do dobrego stanu drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, poruczyć prywatnemu towarzystwu. W tym więc celu, umową nadawczą **NAJWYŻEJ** zatwierdzoną w dniu 28 września (10 października) 1857 roku, droga wspomniana z dniem 1 listopada

wierz Kaźmirzowi, synowi Mieczysława księcia opolskiego, w chrzestnym podarunku. Potomek tego Kaźmirza, Władysław książę bytomski, sprzedał go znowu Kaźmirzowi księciu cieszyńskiemu, a od Wacława syna jego nabył go w roku 1443 Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, wraz z całym księstwem, które się z dwóch miast i 8 wsi składało, za sumę

starożytny, oraz 265 domów, w większej części drewnianych.

Co się tyczy zamku, przedstawionego na załączonym tu drzeworycie, istniał on, jak wspomnieliśmy wyżej, oddawna, stojąc na wyspie otoczonej kanałem. Przesiadawali w nim niekiedy biskupi krakowscy, a Piotr Tomicki na początku XVI wieku gmach prze-



ZAMEK W SIEWIERZU.

tegoż roku oddaną została prywatnemu towarzystwu, na przeciąg lat 75.

Kapitał zakładowy, na potrzebne ulepszenia i uzupełnienia drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej i na wybudowanie odnogi ząbkowicko-katowickiej, oznaczono w akcie nadawczym na sumę rs. 6,000,000, zebrać się mającą przez wypuszczenie stosownej liczby akcji.

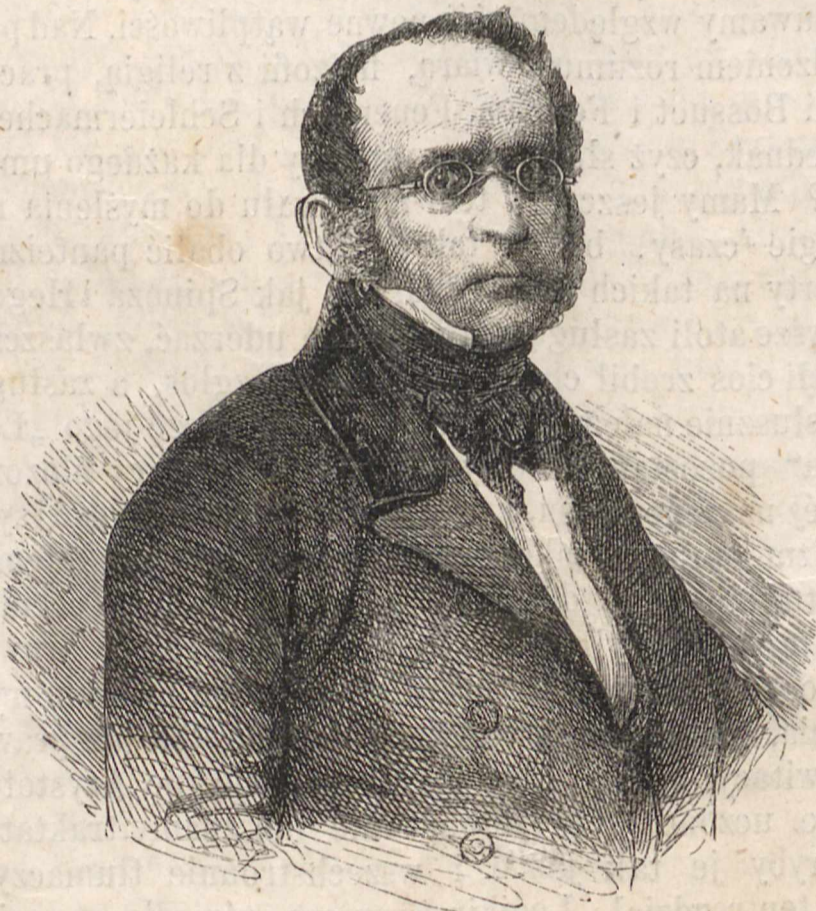
Droga ząbkowicko-katowicka, łącząca bezpośrednio kolej naszą z koleją górno-szląską, otwartą została dnia 26 sierpnia r. b. Obok tego, uskutecznione w ciągu ubiegłych dwóch lat liczne i ważne ulepszenia na linii warszawsko-wiedeńskiej, dowodzą gorliwości towarzystwa o wywiązanie się z położonego w niem przez rząd zaufania.

Powiedzieliśmy na wstępie, że upowszechnienie w kraju naszym węgla było głównym zadaniem drogi żelaznej, w roku 1834 przez H. Żubieńskiego zaprojektowanej; a jednakże dopiero w lat 6 po jej otwarciu, bo po raz pierwszy w roku 1854, węgiel drogą tą przybył do Warszawy. Odtąd dowozi onego z rozwojem kopalń krajowych ciągle powiększają się. W niewodnym już czasie droga żelazna warszawsko-wiedeńska spełni niewątpliwie pierwotne zadanie swoje, i obok stanowiska jakie zajęła pomiędzy głównymi komunikacjami europejskimi, przewóz węgla stanie się jej najgłówniejszą sprawą i obfitym źródłem jej przyszłej pomyślności. Zwykły to tryb ważnych dla ludzkości dzieł: ich przyszłość, wybranym umysłem wcześniej odsłonięta, ustala się dopiero ze wzrostem nowych potrzeb ogółu.

Zamek w Siewierzu.

Miasteczko Siewierz, położone w dzisiejszej gubernii radomskiej, w powiecie olkuskim, od wieków należało do królów polskich. Najdawniejsza wzmianka o zamku jego sięga r. 1163, kiedy Kaźmirz II Sprawiedliwy nadał go w dożywocie Wichrydowi, rycerzowi z Niemiec przybyłemu, a wielce temu monarsze zasłużonemu. Po jego śmierci Kaźmirz darował Sie-

6000 grzywien groszy czeskich, czyli dzisiejszych 230,400 złp. Od tego czasu biskupi krakowscy książętami siewierskimi zwać się poczęli. Używając w całej rozciągłości przywilejów udzielnych władców, sędzili szlachtę i innych mieszkańców bez apellacyi, mieli prawo miecza, nadawali prawa, szlachectwo, mianowali urzędników, nakładali podatki, bili



JÓZEF KREMER.

swoję złotą i srebrną monetę, która dziś do rzadkości numizmatycznych należy, i t. p., aż do ostatnich czasów byłej Rzeczypospolitej polskiej. Dziś Siewierz jest miastem rządowym poduchownem, liczy 1500 mieszkańców, samych chrześcian, ma kościół parafialny, wystawiony w XV wieku, tudzież dwa kościółki, jeden na cmentarzu, wzniesiony w r. 1144 przez Piotra Duńczyka, a drugi pod wezwaniem św. Walentego, również

budował i wspaniale przyozdobił. Na utrzymanie jego biskup Franciszek Krasiński roku 1540 pewien podatek obywatelom kazał płacić. Ostatnim biskupem co w nim jeszcze mieszkał jako książę siewierski, był znany w historii Kajetan Sołtyk. Zamek zbudowany był w czworogran, dość nieforemnie, z wysoką wieżą, która dotąd została. Mieszkalne pokoje otaczał dziedziniec dokoła, a brama przeprowadzona była przez dolną część wieży. Co zaś szczególniejszego w jego budowie, to że ściany i węgly górnego piętra nie odpowiadają ścianom ani węglom piętra dolnego, i cały plan obu pięter jest odmienny, snadź z powodu iż często musiał być przebudowany. Kiedy miasto wraz z zamkiem przeszło w ręce rządu, gmach już był tak zruinowany, iż do żadnego użytku nie mógł służyć; podupadł więc, i zupełnie opuszczony, stracił dach. Dziś nagie tylko mury zwracają jeszcze na siebie uwagę ciekawych; kopuła jednak, wieżę zakończona, lubo także bardzo zniszczona, w całości się utrzymuje.

Do historycznych wspomnień z zamkiem tym połączonych należy bitwa pod murami jego stoczona w r. 1290, w której Władysław Łokietek pobił na głowę najezdnicze wojsko szląskie Henryka IV, księcia wrocławskiego. Napadany był także Siewierz przez braci Wacława, księcia cieszyńskiego, niechcących mu przyznać nabytej od biskupa krakowskiego własności. Wreszcie w pamiętnej wojnie szwedzkiej 1655 roku tu się zamknęło szczupłe wojsko polskie, pod dowództwem Stefana Czarnieckiego, wyszłe po kapitulacji z Krakowa, — kiedy nagle Szwedzi wpadli do miasta w przemagającej liczbie, a gdy sławnego polskiego wodza wtedy nie było, zajęli zamki zmusiwszy garstkę Polaków do przysiężenia na wierność królowi szwedzkiemu, wyprowadzili ich pod Częstochowę.

JOZEF KREMER.

Urodzony w Krakowie w r. 1806, tamże odbył kurs nauk gimnazyalnych i uniwersyteckich, na wydziale filozoficznym i prawnym, następnie zaś, dla dalszego kształcenia się, udał się za granicę, gdzie w ciągu lat

trzech zwiłdził uniwersytety: berliński, heidelbergski i paryżki. W Berlinie Hegel, w Paryżu Guizot byli głównymi jego mistrzami, a wpływ tych mędrców na umysł i późniejsze stanowisko naukowe Kremera, odbija się we wszystkich jego pismach. Za powrotem do kraju w r. 1830, miał się już oddać zawodowi prawniczemu, ale nad widokiem kariery towarzyskiej przemógł w nim wyższy, duchowy pociąg, nieomylna wskazówka przeznaczenia, i Kremer poświęcił się wyłącznie prawie filozofii, która przyciąga do siebie tyle innych gałęzi nauk. W ciągu lat dziesięciu, od roku 1837, utrzymywał on prywatny zakład edukacyjny, aż w r. 1847 powołany został do wykładu filozofii w uniwersytecie jagiellońskim, w charakterze zastępcy profesora, a w r. 1850 mianowany rzeczywistym profesorem, w której to godności zostaje aż dotąd.

Zawód autorski rozpoczął Kremer rozprawami filozoficznymi, zamieszczanymi w „Kwartalniku krakowskim,” piśmie peryodycznym, wychodzącym w ciągu lat 1835 i 1836. Rozprawy te stanowią u nas pierwszy związek filozofii, jako ścisłej umiejętności, wtedy bowiem, oprócz dzieła Jarońskiego „O filozofii“ z r. 1812 i kilku późniejszych książek elementarnych w przedmiocie logiki, nie było u nas nic zgoła godniejszego uwagi (*). Te zatem rozprawy Kremera, były dla nas jutrzemką nauk filozoficznych, a lubo, tak jak są one zamieszczone w „Kwartalniku,” stanowiłyby już dość ważny przyczynek do zbioru naszej literatury filozoficznej, jednak sam autor nie chciał widać poprzestać na tym wykładzie niedość zupełnym i niedość systematycznym. Aby więc zadosyć uczynić wyższym wymaganiom, Kremer postanowił opracować wszystkie części tej tak mało jeszcze u nas uprawianej nauki, i pierwszą swą pracą nadawszy popęd kierunkowi filozoficznemu, ucichł na czas niejaki, przygotowując z wolna materiał do obszerniejszej budowy, tak iż dopiero w r. 1849 ukazał się jego „Wykład systematyczny filozofii“ w Krakowie, którego drugi tom i dotąd ostatni wydrukowany został w Wilnie, w lat trzy po wyjściu pierwszego. Całkowite dzieło obejmuje: fenomenologią, logikę w połączeniu z metafizyką, filozofią natury i filozofią ducha, która w podziałach swych traktuje tak o duchu samym w sobie, jako i o jego zjawiskach. Nie są to jeszcze wszystkie części nauki filozofii, tak jak to autor na czele dzieła wyraził, brakuje bowiem estetyki, filozofii religii i historii filozofii, ale z braku tego wytłumaczył się tym, że co do estetyki literatura nasza posiada już znakomite dzieło Libelta, a przytém powołał się i na swoje „Listy z Krakowa;“ co zaś do dwóch drugich części, przyznał, że wymagają oddzielnych traktatów, i pozwolił ich nam od siebie oczekiwać. Lubo u nas nie oddawna i nie wiele pisano w materjach filozoficznych, to przecież Kremera przy tém powtórnym wystąpieniu poprzedziły już znakomite na tém polu imiona: Cieszkowskiego, Trentowskiego, Libelta; po takich mistrzach nie można było z lada czém stawać w obliczu publicznego sądu. Jakoż Kremer nie obawia się w tej mierze porównania, choć go rzeczywiście z poprzednikami porównywać nie można: tamci mniej lub więcej są twórcami samodzielnych systematów, Kremer przyniósł dla siebie system ze szkoły Hegla, mianowicie z jego encyklopedyi. W wykładzie swym trzymając się dyalektycznego nawet porządku swego nauczyciela, jest on raczej profesorem objaśniającym spóczesne stanowisko nauki na jej najwyższym szczeblu, niż samodzielnym badaczem, który przysparza grunt lub nowych dróg poszukuje. Zdanie to nasze jednak o Kremerze nie może być przyjęte w całej literalnej surowości. Kremer nie idzie ani omackiem, ani z nieostrozną wiarą, drogami wytkniętymi przez ostatnich koryfeuszów filozofii niemieckiej; zna on dobrze ich zakrety i manowce, uważa przeszkody, postępuje przeto z pochodnią krytyka wręku, a z sercem Polaka w piersi. Te dwa tedy charaktery znamionują jego pracę pewną cechą samodzielności i nadają szczególną zasługę jego dziełu, która, jeżeli nie jest pojawem twórczego ducha, nie przestaje wszakże być owocem dojrzałego rozumu i głębokiej jak rzadko nauki. Już to trzeba mieć umysł bardzo przenikliwy, aby zrozumieć naukę myślicieli niemieckich, która istotnie jest jeżeli nie ostatniem, to najgłębszym słowem odwiecznej myśli filozoficznej; niepospolitą trzeba rozważyć, aby pochwycić te kombinacje i uczy-

nić pomiędzy niemi wybór tego, co istotnie mieści w sobie rzeczywisty pożytek i sprawdza ten zapal, jaki z wielu względów należy się badaczom ostatnich czasów. Ale żeby zasady tej nauki streścić w tém co mają w sobie żywotnego i istotnie postępowego, przedstawić je tak przystępnie, a nawet malowniczo, przy pomocy rozległych studyów językowych, jak to uczynił Kremer, na to nietylko potrzeba rozumu i wprawy w myślenie filozoficzne ale i talentu. Dziś, a mianowicie u nas, trzeba się wyrażać bardzo oględnie o filozofii niemieckiej, która budzi pewien rodzaj wstrętu i niewiary, najwięcej zaś krzyczą przeciwko niej ci, którzy nie widzieli nawet okładki od książki filozoficznej. Pomijając tedy wszystkie te frazesy, powtarzane jak z pozytywki, jeżeli z cierpliwością przejrzymy prace filozofów niemieckich, mianowicie Hegla, jakże bezmyślnymi wydadzą nam się te krzyki, jakim zdumieniem przejści zostaniem, wpatrując się w tyle światła, które wnika do duszy, aby rozjaśnić pogląd na rzeczy duchowego świata! Kremer nie pominął w tej nauce niczego, co by to światło przeprowadzić mogło do umysłu polskiego czytelnika. Nie tłumaczy on nic, ale przerabia w swój myśli, aby treść uczynić umysłowi polskiemu zrozumiałą, opuszczając zawiłą strategię słów. Prawda, że w wielu razach zbywa rzecz nazbyt szkicowo, jak między innymi dział filozofii natury i psychologii; ale za to dział fenomenologii, a mianowicie logiki, obrobiony jest w sposób przynoszący prawdziwy zaszczyt autorowi, a czytelnikom znakomitą korzyść.

Systemat Hegla ma jedną stronę słabą, odpychającą, zgubną nawet dla tych, co by się nad przepaścią zatrzymać nie potrafili, a tą jest panteizm. Panteizm, to zhora, która dusiła jeszcze filozofów greckich, neoplatoników, przeniosła się do systematu Spinozy, a ostatecznie osiadła w Berlinie. Poświęca on albo naturę dla Boga, albo Boga dla natury, jedno lub drugie nie ma tu rzeczywistego, samodzielnego bytu; a zatem system taki w ostatniem znaczeniu będzie mistycyzmem albo materyalizmem, a osobowość Boga takiego, jakim go nam wyobraża religia, niknie w tym systemacie zupełnie. Owóż to jedno najgłówniejsze Kremer z tego systematu odrzucił: z jego nauki wypływa ten sam Bóg, którego pojęcie od dzieciństwa zaszczenia nam wiara, i z którym pragniemy umrzeć. Zapytać tu można z pewnym zdziwieniem, jakim sposobem tenże sam punkt wyjścia i też same drogi doprowadziły do innych celów, jakim sposobem Kremer mógł poprawić Hegla? Zagadkę tę rozwiązuje „Logika“ Kremera, a mianowicie jego wywód osobowości bezwzględnej. Tak przynajmniej utrzymuje sam autor; bo co do nas, nie powiemy aby wywód ten był prowadzony rzeczywiście z tak rozpaczliwą loiką, jak to Kremer kilka razy daję nam do zrozumienia, tak iż dotąd jeszcze, skoro nauka podejmuje się nam dowodzić tego co mamy w sercu, uczuwamy względem niej pewne wątpliwości. Nad pogodzeniem rozumu z wiarą, filozofii z religią, pracowali Bossuet i Fenelon, Feuerbach i Schleiermacher; a jednak, czyż słowo ich wystarczy dla każdego umysłu? Mamy jeszcze w tém materiale do myślenia na długie czasy, bo nie tak to łatwo obalić panteizm, oparty na takich dwóch filarach, jak Spinoza i Hegel. Zawsze atoli zasługą jest na niego uderzać, zwłaszcza jeżeli cios zrobił choć jakikolwiek rozgłos, a zasługa ta słusnie należy się Kremerowi. Zawsze jego „Logika“ pozostanie ważnym pomnikiem pracy filozoficznej naszego czasu, a rozdziały tłumaczące sądy syllogizm, przejdą jako arcydzieło wykładu. Żałujemy, że tu nie mamy dość miejsca na szczegółowe ocenienie tej teorii syllogizmu według Kremera, bo prawie aż ochota bierze rozszerzyć się nad tém prawem myślenia, odkrytém przez Arystotelesa, tak jak prawo grawitacji przez Newtona; rozmaicie po Arystotelesie uczono je pojmować, ale nie znamy traktatu, któryby je tak jasno i wszechstronnie tłumaczył, jak ten rozdział „Logiki“ Kremera, tém dla nas miłszy i ważniejszy, że jest on wcale samodzielnie przez autora opracowany, o własnej sile i własnym poglądem. Mało kogo spotkał zaszczyt tak dokładnie tłumaczyć Arystotelesa. Nie wiem ile ogół nasz uznaje prace filozoficzne Kremera; zapewne niewiele, bo filozofia, to rzecz która u nas niezupełnie jeszcze przestała trącić siarką i smołą; jedni od niej się odzegnują, drudzy ją zaliczają do rzędu szarad lub logogryfów; za tém idzie w literaturze płochość i powierchowność, a deklamatorstwa nawał: ale jak się kiedyś przekonamy nareszcie, że to wstyd powtarzać

kilka razy na dzień wyrazy, których się nie rozumie, jak np. dusza, sumienie i t. p. i że w wyrzeczeniu się uczynionem na chrzcie, nie mieszczą się studia filozoficzne, wtedy i prace Kremera okażą się w całym swém znaczeniu, zwłaszcza przy początkowym wykładzie.

Chociaż z natury swojej mniej znaczące, ale nierównie u nas popularniejsze są studia estetyczne Kremera, znane p. t. „Listów z Krakowa;“ które ostatecznie wyszły we trzech tomach w Wilnie 1855 roku. Pierwsza ich część obejmuje kurs estetyki, ujęty w formę nietylko nadzwyczaj przystępną, ale i nader powabną; tłumaczy ona czém jest idea piękna jako atrybut ducha, wskazuje jak ona staje się twórczynią sztuk i w nich się przejawia, jakie są prawa tego tworzenia, jaki jest stosunek sztuk pojedynczych do siebie i wzajemne działanie jednych na drugie, nareszcie jakie jest działanie całego tego pochodzenia na ludzkość. W traktacie tym Kremer czerpie pojęcia z najświeższych źródeł, pogląd jego jest najnowszy, a zatem najrozleglejszy, a ciągle zwroty do szczegółów krajowych wiele dodają interesu wykładowi. Pracy tej zasługa niezmiernie podniesiona jest chwilą w jakiej się najpród ukazała, t. j. kilkunastą latami przed jej powtórnym wydaniem. Było to wtedy, kiedy mieliśmy już arcydzieła w poezyi i muzyce, ale pojmując takowe wrażeniem samém, o teorii sztuki mieliśmy bardzo słabe wyobrażenie. Dzieło Kremera pierwsze zaczęło rozświecać ciemności; młody literat znalazł w niem rozbudzenie i zachętę do głębszych i dalszych w tym przedmiocie poszukiwań; zwyczajny czytelnik, pociągnięty wdziękiem samego stylu i żywością wykładu, nabierał estetycznego wykształcenia, wystarczającego na codzienną potrzebę; dzieło to, słowem, rozniosło imię i zasługę Kremera po całym kraju, wiodąc za sobą czystsze, krytyczniejsze zapatrywanie się na ideał, na utwory sztuki. Równy z jego dziełem upadło o niej wiele barbarzyńskich pojęć, jak to na przykład, że sztuka jest naśladowaniem natury, że tém jest doskonałą, im ją lepiej naśladowuje, i t. p. cudactwa. Pierwszy ten tom nie stanowi jeszcze właściwej estetyki w ścisłym znaczeniu naukowym, ale jest do niej kluczem i pobudką.

Dwa drugie tomy nauczają, jak owa idea piękna przejawia się w twórczości rozmaitych społeczeństw, w miarę warunków otaczającej ich natury, wyznawanej religii i zadań politycznych. Jest to więc historia powszechna sztuki, traktowana ze stanowiska ogólnego, dająca więcej wyobrażenie o charakterze pewnej twórczości i powodach dla czego i gdzie sztuka taka a nie inny charakter przybrała, niżeli zajmująca się sądem o pojedynczych szczegółach, chyba że szczegół jakiś zawiera w sobie wszystkie, a przynajmniej główne znamiona charakteru ogólnego. Rozpoczyna się ona krytyką sztuki najdawniejszych społeczeństw, jak Chiny i Indye, przechodzi wszystkie narody azjatyckie i europejskie, najdłużej i z największym upodobaniem zatrzymuje się na Grecyi, potracą z lekka i o Polskę, ograniczając się epoką odrodzenia sztuki w warunkach już chrześcijańskich, to jest w szesnastym wieku. Jest to zatem i obszar, i różnorodność; rzecz łącząca w sobie i naukę, i malowniczość, zasiloną to własnym rozumowaniem autora, to spostrzeżeniami innych najkompetentniejszych badaczy, których autor radził się w tém, czego osobiście nie dotknął; rzecz tém dla nas ważniejsza i pożądalsza, że pierwsza i jedyna w języku naszym, co mieści w sobie ogół tak obszerny, a nieporównana z żadnym innem nawet zagranicznym dziełem, z tego względu, że nigdzie jak tu stosunek sztuki do całego rozwoju dziejowego nie jest z taką dokładnością oznaczony i tak konsekwentnie wyprowadzony. Po wyjściu niegdyś pierwszego tomu, sypnęło się tyle pochwalnych odgłosów na cześć stylu Kremera, iż autor nie wytrzymał widać nacisku ze stoicką siłą, tak iż w dwóch ostatnich tomach, chcąc zapewne dorównać sobie, nieco przesadził miarę. Całą też wadą tej części jest zbytnia pieśczoła językowa i poprzegradanie traktatu ustępami czystej deklamacji, którym właściwsze miejsce byłoby w powieści poetycznej, niż w dziele poświęconem nauce: tu niecierpliwą one tylko czytelnika, zaciekawionego do rzeczy samej. Robimy te uwagę p. Kremerowi, która mogłaby się przydać do następnego wydania.

Dziś Kremer jest w sile wieku; jako przewodnik młodzieży na najwyższym stanowisku naukowym i jako pisarz publiczny zgarnia on podwójną na czoło swe zasługę. Mało komu u nas dozwolił Bóg iść temi dwiema zarówno użytecznymi drogami; męcząca to piel-

(*) Gołuchowski i Trentowski pisali wówczas po niemiecku, a Libelt nie pisał wcale.

grzymka, a jednak nie upada w nią Kremer. W tej chwili wychodzi nowa jego praca „Podróż do Włoch“, która zaznami nas zapewne bliżej i obszerniej z tém co utworzyły wieki na tej klasycznej ziemi, z której wyszły na świat największe myśli i najznakomitsze dzieła.

Kazimir Kaszewski.

ASTRY,

RYSUNEK Z PAMIĘCI

przez

LUDWIKA BRZOZOWSKIEGO.

(Dokończenie).

II.

... Pewne myśli tak się obawiają słów, jak furyaci kaftanów bezpieczeństwa. Nieraz strasznymi obrazami wiewają ci po głowie, w dziwacznych postaciach tańczą, koziołkują, szaleją pod czaszką, a skoro weźmiesz pióro do ręki, prędkiej do łez cię rozczulą, niżli dadzą się skrepić słowami. ...

Podobne myśli raz w Paryżu, na poddaszu w Quartier Latin, opanowały mię po przeczytaniu ostatniego listu od Władysława. List ten odebrałem w kwietniu, to jest w siedm miesięcy po opuszczeniu kraju. Zanim go przytoczę, streszczę poprzednie.

Władysław przez kilka dni po moim wyjeździe był codziennym gościem w domu majora. Zazwyczaj przychodził w poobiednich godzinach, kiedy wiarus, chcąc korzystać z ostatnich dni babiego lata, używał świeżego powietrza w swoim ogródku. Z początku miał jedynie na celu zbadanie zamiarów Dławińskiego i rozpoznanie interesu o kupno wioski; ale później tak polubił żwawe opowiadania starego żołnierza o odbytych kampaniach, że chociaż się już przekonał, o osiągniętych radach znajomego patrona, iż jego obawy co do interesu były płonne, i że to łatwe kupno Wulki obiecywało rzeczywiście świetne korzyści wiarusowi, nie przestawał go odwiedzać. Czarna, pojęta książkowo, postać Dławińskiego, stopniowo coraz jaśniejszą przedstawiała się jego oczom. Spotykając się z nim często w domu majora, zasmakował w jego rozmowie, za pomocą ostrym dowcipem, pełnej erudycji, paradokсів, a przytém dziwnie łatwej.

I po paru tygodniach nie widział w nim już niebezpiecznego społecznika człowieka, lecz niebezpiecznego dla siebie młodzieńca przy Florci, której chabrowe źrenice zaczęły mu się zjawiać we śnie. ...

W tym czasie major wyjechał na kilka dni w Sandomierskie, aby raz jeszcze obejrzyć Wulkę i stanowczo zdecydować się na jej nabycie. Akt kupna i sprzedaży miał być sporządzony przed regentem w Radomiu. Na samém wyjeździe, poczciwy żołnierz, wycelowawszy się ze wszystkimi, dodał wzruszonym głosem:

— Idę na ostatnią kampanię, powiadam, z amunicją Florci i z resztką sił moich do ciężkiej pracy. Ryzykuję bardzo dużo, bo posag najdroższej dzieciny, powiadam. Oby Bóg miłosierny natchnął mię odwagą i otoczył świętą swoją opieką.

— Amen, szepnęła stara panna, kuzynka wiarusa, która do jego powrotu miała mieszkać przy Florci.

— Władysławowi łyzy się zakreśliły w źrenicach; Dławiński spojrział na niego z uśmiechem. ...

... Znam cierpienia zakochanych z tkliwych książek i smutnego doświadczenia. Owzdychałem już niejednemu bohaterowi powieści, abonując przez ostatnie dwa lata pobytu w szkołach romanse z czytelni. ... Ach! od tej pory każda czytelnia wydaje mi się szpitalem zapakowanym łóżkami z bibuły, na których widać się w strasznych męczarniach chorzy na miłość biédacy. I sądzę że każda miłość jest nie czém inném, jak tylko patologiczną komórka, wytwarzającą się na nerwach, pod wpływem ocznych promieni; jest chorobą zapalną, a więc niebezpieczną. ...

Mój przyjaciel Władysław z każdym dniem czuł coraz silniejsze objawy tej choroby. Pobladał, stracił humor, sen, apetyt i zaległ w pracach literackich. Wyczekiwał promyka nadziei z chabrowych źrenic. Napróżno! Florcia kochała Dławińskiego. ...

Było to jakoś w miesiąc po nabyciu Wulki, w połowie stycznia. Major, z krótką fajeczką w ustach, siedział wieczorem w fotelu przed piecem, a Florcia czytała na głos „Historię konsulatu i cesarstwa Thiersa.“ „Grouchy nie przybył,“ kończąc opis batalii pod

Waterloo, czytała Florcia. „Grouchy nie przybył“, wymówiła raz drugi, i zatrzymała się na chwilę.

— No, cóż dalej? rzekł wiarus. Żeby tego zdrajcę, lichu porwało, że nie przybył w porę, powiadam!

— Ale co się znaczy, mój stryjasku, odezwała się Florcia, że już tak dawno nie był u nas pan Dławiński.

— O! o! bardzo dawno! niema tygodnia.

— Już drugi się kończy.

— Widziałem się z nim wczoraj na ulicy. Ma on swoje powody, które go od częstych wizyt wstrzymują, powiadam. To zacny chłopak!

— Powody? zapytała Florcia.

— A tak, i bardzo słuszne. Mówił mi, powiadam, że widząc od pewnego czasu, co i ja widzę, iż ci się pan Władysław podoba, nie chce być natrętnym. To zacny chłopak!

— Ależ mój stryjasku, przerwała Florcia, pan Dławiński domyśla się tego, o czém ja nie wiem zupełnie.

— To chwała Bogu! powiadam. Chwała Bogu! Powiem mu to jutro i przyprowadzę z sobą. Zacny chłopak, odżyje, powiadam. Potrzebuję go teraz, żeby mi skontrolował rządzcę. Bo później, od Wielkiej nocy, jak się już przeprowadzimy, to niema o czém gadać, pójdzie wszystko jak po maśle, powiadam. Zobaczysz jak się to ja wezmę po mojemu do pracy. Na stare lata każdy żołnierz powinien szablę na lemiesz zamienić, powiadam. Tak u nas zawsze bywało.

— A ja, rzekła Florcia, założę szkółkę dla dzieci i urządę apteczkę.

— U mnie będzie wszystko po wojskowemu, mówił dalej wiarus z roziskrzonym okiem. Chłopcy, panie, do kosy będą maszerować trójkami, na łące rozwijając się w szeregi, na komendę zaczynając, na odgłos dzwonka schodzić z roboty! A jak przyjdzie żniwo, to zobaczysz, że nawet baby wymusztrować potrafię. ...

Wtém wszedł Władysław.

Major powitał go oziębło. Florcia zaledwie kiwnęła główką.

Karnawał rozbijał się hałaśliwie po stariej Warszawie. Okopcone, pękate kamienice trzęsły się w takt drżących polek i zamasztych mazurów. Bałe, baliki, reduty, dzień w dzień nęciły młodzież do skocznych turniejów. Pękały butelki szampana, lakierowane trzewiki, sznurówki, szkła u lamp przepalone. Tygodniowe wieczorki prosperowały także w całym blasku. I kassyerostwo Czumscy, wedle zaprowadzonego od trzech lat porządku, regularnie co środa, w swym trapezowatym saloniku, pyszniącym się dwiema serwantkami, niby dwoma pomnikami gustu i zamożności, ugaszczali limonadą i brzęczącym fortepianem hoże panienki i młodzież biurową, a kiksem z asami i markowanym wistem zabawiali mamy i tatusiów. Goście ich od wielu lat byli zawsze jedni i ci sami, punktualni jak pocztowe karety. Tej zimy major Przysucha z synowicą zostali policzeni w poczet najpunktualniejszych. Poczciwy żołnierz, mimo kłopotów, nie opuścił dotąd żadnej środy; bo Florcia nie chciała nigdzie bywać, tylko u kassyerostwa, a usprawiedliwiała ją w tém nadzieja spotkania Dławińskiego, który, pomimo próśb majora, nie pospieszał na róg Mylniej.

— Harda dusza! mawiał nieraz wiarus z udaną wesołością do swój synowicy. Dzielnny chłopak! Boli go, powiadam, twoja życzliwość okazywana panu Władysławowi. Chce cię podręczyć. O! o! znam ja to dobrze, rozumiem i. ... jestem pewny, że jak cię podręczy, to powróci.

Tymczasem Dławiński ani razu nie zaszczycił tygodniowego zebrania u kassyerostwa. ... Nie przestawał dręczyć biédnej dziewczyny!

Kilkakrotnie widziano go, jak jechał przez Nowy świat na dzielnym *vollblucie*.

Miał podobno za ułatwienie sprzedaży jakiegoś wielkiego majątku, dostać grube pieniądze. ...

Już marcowe słońce łamało jaskrawe promienie na topniejącym śniegu i nęciło do błotnej przechadzki skurczonych przez zimę mieszczuchów. Już czuć było w powietrzu westchnienie zbliżającej się wiosny. ...

Władysław otworzył lufcik od swój stancyjki, na pokrytą lodem Wisłę. Twarz jego, opromieniona niegdyś młodzieńczym uśmiechem, nosiła wyżółkłe pię-

tno ciężkiej choroby; oczy z gorączkową niespokojnością poruszały się w zapadłych orbitach, rażone blaskiem bijącym od śniegu. Domyślcie się zapewne, co tak zmieniło mego przyjaciela. ...

— Jak się masz?, stary, rozległ się głos po stancyjce.

Władysław zamknął spieszenie lufcik i wyciągnął wychudłą rękę, na powitanie patrona.

— Lepiej, kochany jurysto, rzekł pokaszując, ale co cię do mnie sprowadza?

— Primo, obowiązek nawiedzania chorych, odpowiedział patron, a potém twój interes.

— Mój interes?

— To jest, chciałem powiedzieć, interes obchodzącej cię osoby, majora Przysuchy.

— Majora! zawołał Władysław. Mów! mów! co się stało?

— Nic nadzwyczajnego, głupstwo! Twój major drogo zapłacił za kilkumiesięczny tytuł własności Wulki, i zdaje mi się że już nigdy nie odbierze swoich trzydziestu tysięcy.

— Niepodobna! krzyknął mój przyjaciel.

Prawnik ruszył ramionami, uśmiechnął się i rzekł sentencyonalnie:

— Niepodobniostwa nie istnieją.

— Ależ przecie radziłem się ciebie!

— Ludzie są omylni; a wreszcie to kupno rzeczywiście byłoby bardzo korzystnym, gdyby małeletni jeszcze kilka lat mogli być małeletni. Ale, na nieszczęście, przed miesiącem podejrzewali prawnie i żądają swoich kapitałów.

— To ich spłacić.

— Wyborne, ale czém?

— Sprzedać las.

— Ba! a ostrzeżenie w hipotece.

Władysław zaczął się ubierać, ręce drżały mu jak w paroksyzmie febry.

— Ależ to niepodobna, powtarzał półgłosem, naciągając paletot, niepodobna! Przecież Dławiński jest narzeczonym Flory, a nawet już jej mężem może. Nie wychodziłem kilką tygodni z domu. ... nie wiem co się dzieje na świecie. ...

— Cha! cha! cha! ... co ty tam mruyczysz o Dławińskim? zapytał patron, wybuchając śmiechem. To ryba, spekulant na głupie wdowy i niedołączonych emerytów! Lokuje im kapitaliki w swojej kieszeni, dając na pewność zaszargane hipoteki bankrutów lub zablocone mitry jasnych panów. On z tego żyje i dobrze mu się powodzi. ...

— Ależ na miłość Boską, chyba żartujesz!

— Nie, nie żartuję. Są pewne sidelka taksu subtelne, że sprawiedliwość nie umie ich rozplątać. I ręczę ci że Dławiński, pośrednicząc w tém kupnie twojemu majorowi, zrobił rzecz całą prawnie. Kolegowałem z nim na uniwersytecie. ... wiem co umi! ...

Władysław już był we drzwiach.

... Oto ustęp ostatniego listu od mego przyjaciela: ... Piszę do ciebie z rogu Mylniej. Za podkładkę miękką pod list służy mi pozwy. ...

Florcia jest bardzo chora; przed chwilą zasnęła. Przez otwarte drzwi jej pokoiku dochodzi do moich uszu, wymawiane stłumionym głosem, w śnie gorączkowym, imię Dławińskiego.

— Przebaczam mu, przebaczam! ... powtarza biédne dziewczę. ...

Opowiem ci w trzech słowach całą katastrofę.

Dławiński namówił poczciwego żołnierza na kupno wioski, której wartość przewyższała długi, czyli jednym słowem na współkę z byłym właścicielem Wulki wyciągnął wiarusowi trzydzieści tysięcy z kieszeni. Mój patron utrzymuje, że zrobił to prawnie. ...

... Major powtarza przez sen znaną ci sielanekę:

„Wsi spokojna, wsi wesoła, i t. d. ...

... Po roku wróciłem do kraju. ...

Wujenka łała łyzy rzesiste, Dzałmuś wył, jakby czyjś zgon przeczuwał. ...

... Po południu postanowiłem odwiedzić majora Przysuchę, zanieść mu pozdrowienie od brata z Paryża, zobaczyć ogródek, astry i dziewczynę.

Dzień był jesienny, pogodny, taki sam jak przed rokiem, w wigilię mego wyjazdu za granicę.

Wesoło wszedłem w bramę domu na rogu Mylniej, spojrziałem w podwórze i. ... cofnąłem się z zadziwieniem. ... Ani śladu ogródka, wszystko zabrukowane.

— To chyba nie tu, rzekłem do siebie, wychodząc ne ulicę.

— Kogo to pan szuka? odezwał się ktoś po za mną. Obejrzałem się...

Pocziwy wiarus, w tytuniowym surducie, stał przedemną, z doniczką astrów w ręku.

— A! pana majora dobrodzieja! zawołałem uradowany. Przywożę mu ukłony od brata z Paryża.

— Cicho! cicho! szepnął major, oglądając się na wszystkie strony. Dziękuj!... Bardzo dziękuj!... Ah! to pan... nie poznałem!

— I błogosławieństwo dla jego synowicy, dodałem po chwili.

— Dziękuj! bardzo dziękuj! powiadam... Idę właśnie do niej, niosę jej doniczkę astrów...

— A jakie śliczne! Na jednym krzaku lila, białe i różowe.

— A tak, śliczne... ręczę że nie znajdziesz piękniejszych, powiadam, na całych Powązkach... No! może pójdziesz ją odwiedzić ze mną?...

Major miał łzy w oczach.

— Ztąd niedaleko na Powązki, dodał, biorąc mnie pod ramię, a ona leży na starym cmentarzu, powiadam...

— Na cmentarzu?... powtórzyłem z przerażeniem. ...I zśliśmy w milczeniu...

Nagle, przed pałacem Mostowskich, major zadrżał, doniczka z rąk mu wypadła... astry rozsypały się po chodniku...

— Przeklęty! jęknął starzec, patrząc na pędzące tilbury, w którym obok znanego mi hrabiego Dyonizego, siedział... Ignacy Dławiński. — Dręczy ją nawet po śmierci... Rozbił mi ostatnią doniczkę jej ukochanych astrów!

króla Stefana. Brzeszczot długi 2 stopy i cali 9, szeroki na półtora cala; po obudwóch stronach, w podłużnych równoległobokach, misterne wyrzeczenia gusto-

pis FRANGIA (Frangia albo Fryngia oznacza po węgiersku wyborny brzeszczot), na prawej stronie brzeszczotu gładki, po lewej zaś między dwa półksiężycy wtrącony; powyżej jeszcze nad napisami ozdoby z rautów. Tylec brzeszczotu wyrzeźbiony w liście.

Rękojeść składa się z ujęcia i jelca w krzyż, podobnie jak wszystkie szable wschodnie. Guz u szczytu lekko ku ostrzu pochylony, w klejnoty zdobny, podobnie jak i szwy ujęcia. Rękojeść stosunkowo ciężka, wyrznięta w dachówkowatą, wypukłą łuszczkę, dla zapobieżenia ażeby szabla przy uderzeniu nie odwracała się płazem lub z ręki nie wysliznęła; jelec równie pięknie rznęty, ma na bocznych płaszczyznach rozety otoczone obrączkami i lilie, na tle rzeźbioném. Cała rękojeść wraz z jelcem wyrobiona ze srebra mocno złoconego w ogniu.

Pochwa zrobiona z cienkich drewnianych listew, powleczone aksamitem, ma okucie srebrne, złociste, z rzeźbami odpowiedniami rękojeści.

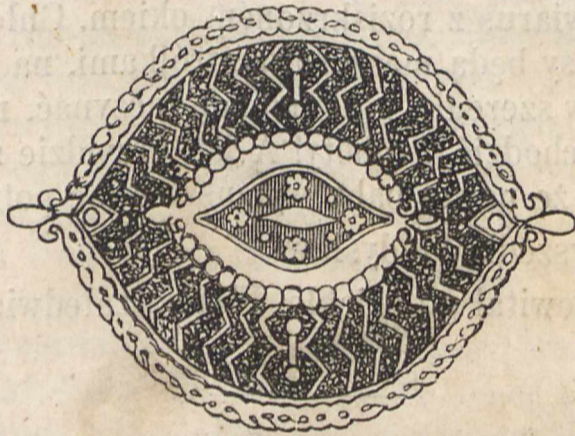
Nadmienić tu wypada, iż Paweł Uchański, poseł rzeczypospolitej przy stolicy apostolskiej, przywiózł królowi Stefanowi w roku 1580 z Rzymu do Wilna szablę honorową w darze od papieża; być może, iż to ta sama. Obecnie jest ona w posiadaniu Dra Egger, numizmatyka w Peszcie.

Drugą z przedstawionych tu szabel podarował papież Aleksander VII Stanisławowi Lubomirskiemu, marszałkowi koronnemu w r. 1658.

Na niej przy rękojeści na brzeszczocie z jednej strony wyobrażenie N. M. Panny, Pana Jezusa piastującej, pod którym napis: „Mater Dei, protectrix Poloniae, sub tuum praesidium confugio.“ U nóg Matki Boskiej herb Lubomirskich



RĘKOJEŚĆ SZABLI STEFANA BATOREGO.



Okucie srebrne na pochwie.

wnie go zdoła. Po lewej popiersie króla w zbroi, z rycerskim naszyjnikiem i koroną na głowie. Twarz zwrócona w lewo, na głowie korona; nieco wyżej po lewej znajduje się wieża, pod popiersiem na małej tabliczce napis Stephanus D(ei) G(ratia) Rex Pol. (oniae) D(ux) Prus(siae). Po drugiej stronie armatura z broni, ułożona symetrycznie; wyżej nad nią korona, a nad tą dwa rogi obfitości, w dół zwrócone, skrzyżowane końcami.

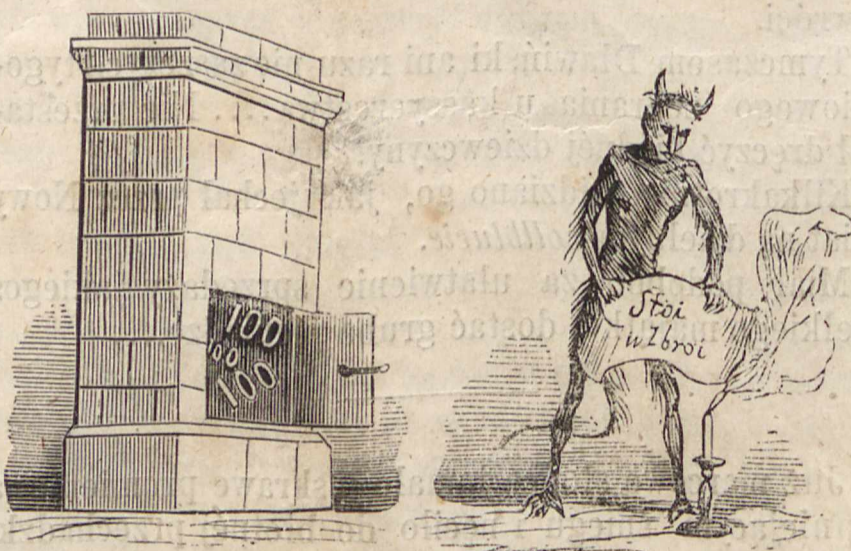
Jeszcze dalej ku górze, po obydwóch stronach na-

Rozwiązanie zadania szachowego Nr 9.

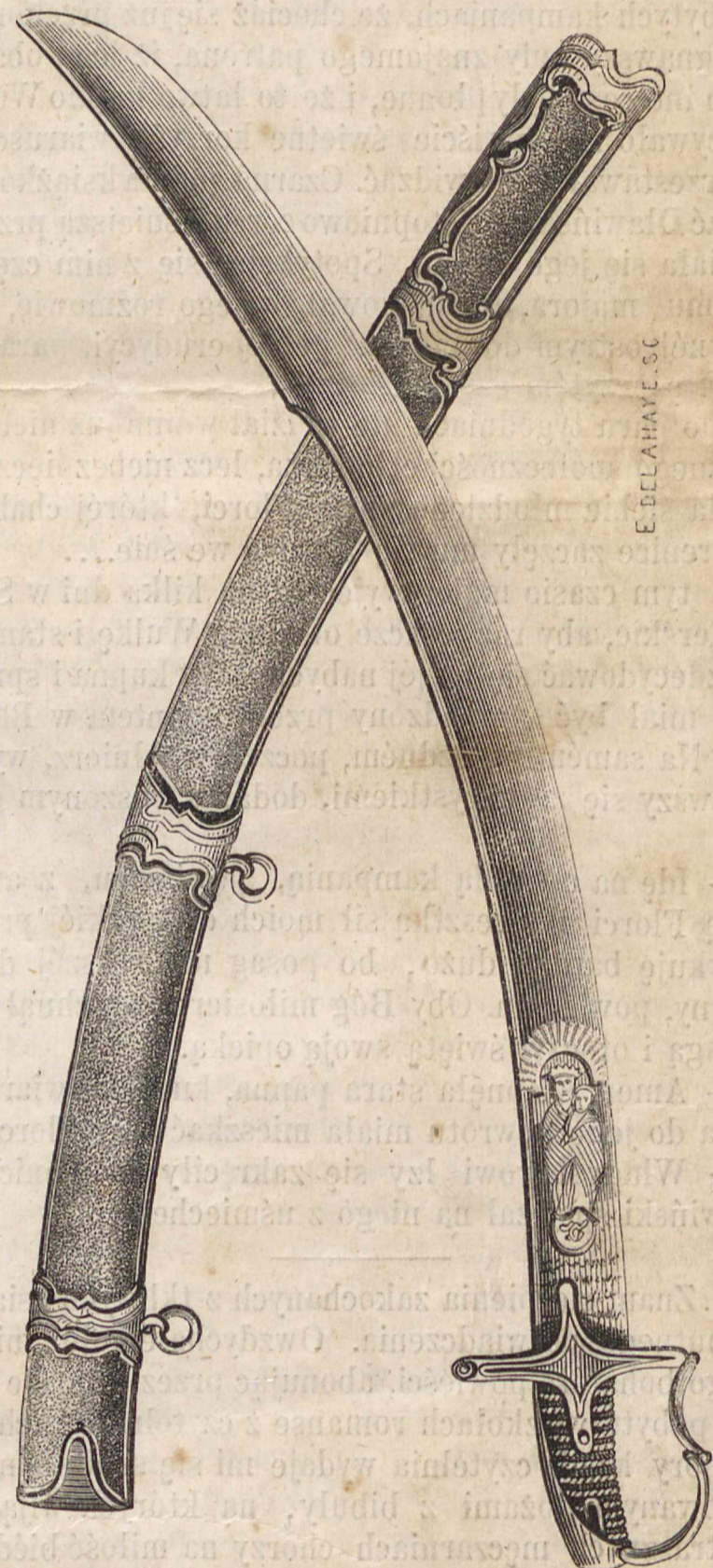
Białe.		Czarne.	
1) A 4 — A 8 +	2) D 7 — C 6	1) C 8 — D 7	2) D 7 — C 6
2) B 3 — B 7 +	3) C 6 — D 7	3) C 6 — D 7	3) C 6 — D 7
3) B 7 — B 4 +	4) D 7 — D 6	4) D 7 — D 6	4) D 7 — D 6
4) C 5 — C 6 +	5) D 6 — E 5 bierze	5) D 6 — E 5 bierze	5) D 6 — E 5 bierze
5) E 4 — E 5 +	6) E 5 — E 4	6) E 5 — E 4	6) E 5 — E 4
6) A 8 — B 8 +	7) E 4 — D 3	7) E 4 — D 3	7) E 4 — D 3
7) C 4 — C 5 +	8) D 3 — C 2	8) D 3 — C 2	8) D 3 — C 2
8) B 8 — B 5 +	9) C 2 — D 3	9) C 2 — D 3	9) C 2 — D 3
9) B 4 — C 4 +			
10) D 5 — F 4 + i mat.			

W zadaniu tém mógłby być mat za trzecim posunięciem, idąc królową na A 8, potem wieżą na B 7 i nakoniec królową na A 6; ale tu szło o to, żeby koniecznie dać mata koniem D 5 w dziesiątym posunięciu.

REBUS.

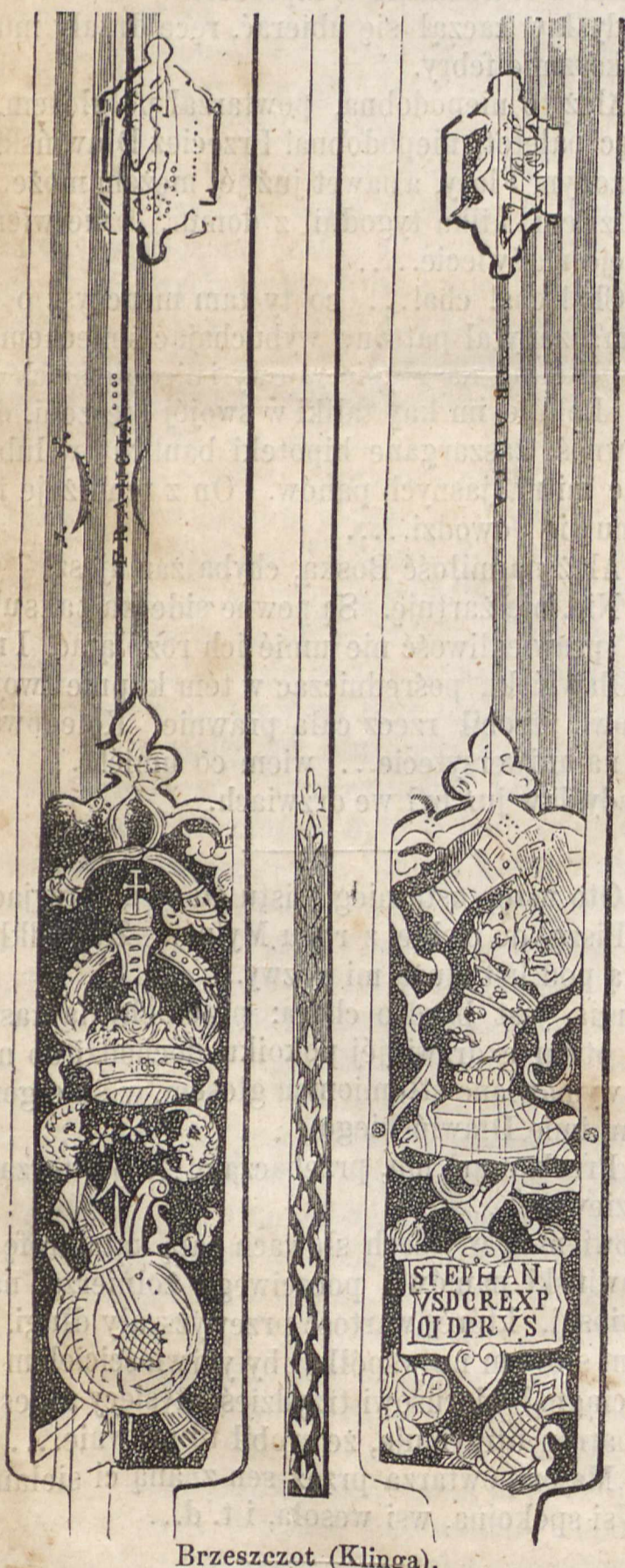


Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 13. Długie warkocze ubierają kobiety.



SZABLA STANISŁAWA LUBOMIRSKIEGO.

Szreniawa, laska marszałkowska i buława, otoczona węzłem miesiąc trzymającym; na boku tych godeł napis: „Accipe sanctum gladium manus a Deo.“ Na drugiej stronie brzeszczotu, krzyż podwójny z napisem u dołu: „In hoc signo vinces.“ Poniżej, po obu stronach krzyża, litery: A.(Aleksander) VII. P.(Pontifex), M.(Maximus), S.(Stanisław), L.(Lubomirscio), M.(Mareschalco), R.(Regni), E.(Equiti), P.(Polono), G.(Grate), D.(Dedit) 1658. U spodu krzyża napis: „Deus, exercitum bellator fortissime! esto mecum.“



Brzeszczot (Klinga).

Szable Stefana Batorego i Stanisława Lubomirskiego.

Dwie szable tutaj zamieszczone odznaczają się nie tylko starożytnością i pięknym wyrobem, ale też dla nas są szacowniejsze, że należały do ludzi, którzy w ręku swym ważyli losy naszej ziemi. Obadwaj daleko roznieśli sławę tych szabel, których wizerunek tu podajemy. Pierwsza z nich należała do dzielnego